

II/1892

"Musimy wywieźć was do Polski"

JOZEFA BIEROWIEC ur.25 II 1914r z domu FOSTACZ córka Agaty i Franciszka zamieszkała przed zesłaniem: wieś Bożyków pow. Podhajce woj. Tarnopol wspomina:

Są w życiu każdego z nas daty radosne szczęśliwe i daty tragiczne. Dla mnie radosną datą był dzień 10 I 1940r. Urodziłam syna. Mieliśmy z mężem wybudowany dom, gospodarstwo rolne.

Wszystko zmieniło się 10 II 1940r o godzinie drugiej w nocy. Łomot do drzwi zerwał nas ze snu.

Mąż otworzył drzwi. Weszło dwóch radzieckich żołnierzy, rozkazali nam ubrać się i wychodzić z domu.

Zapytałam dlaczego i gdzie, mam małe dziecko, sama jestem chora. W odpowiedzi usłyszałam: "Musimy wywieźć was do Polski - uchronić przed Ukraińcami".

Zawinęłam synka w poduszkę, ułożyłam w wiklinowej kołysce. Wzięłam kilka pieluch, pierzynę, poduszkę, trochę mąki i chleb. Pakowałam ~~xx~~ automatycznie, co było pod ręką, zastanawiając się nad tym co powiedział żołnierz: - ~~ę~~ do Polski?... przecież jestem w Polsce.

Przed domem czekały sanie, którymi zawieźli nas do stacji Litwinów-Bożyków.

Na stacji wprowadzono nas do bydłych wagonów. W wagonie było 75 osób i piętnaścioro dzieci w tym również niemowlęta. W wagonach na stacji byliśmy przez trzy dni. Przez cały czas w ciągu dnia i nocy, zwozili ludzi z okolicznych wsi. Po trzech dniach pociąg odjechał.

Następny postój na stacji Potutor. Znow czekanie trzy dni, dalsza zwózka ludzi i odjazd do Tarnopola.

W Tarnopolu przepędzono nas do innych wagonów towarowych, ale te miały już okna zakratowane. W kacie wagonu dziura w podłodze - ubikacja.

I tutaj już wszyscy wiedzieliśmy gdzie jedziemy. W czasie podróży dawali nam jeden raz dziennie zupę, chleb i zimną wodę.

Pośrodku wagonu był żelazny piec, w którym się paliło. Było jednak tak zimno, że jak siedziałam na pryczy i karmiłam synka piersią, to na kołnierzu płaszcz z nego oddechu powstawał szron.

Wodę dostawaliśmy od maszynisty. Płukałam pieluszki w miednicy. Suszyłam trzymając je przy piecu.

Po miesiącu takiej podróży dojechaliśmy do Krasnojarska. Wysiedliśmy z pociągu. Umieścili nas w baraku, gdzie byliśmy trzy dni. Następnie znów w drogę, ale teraz wieźli nas saniami. Podróż trwała kolejne trzy dni. Na noc zatrzymywaliśmy się w ziemiankach. Przeprowadziliśmy się przez rzekę Jenisej, a naszym przeznaczeniem była Seredna Rieczka.

Zamieszkaliśmy w baraku. Mieliśmy jedną izbę z oknem, w której był żelazny piec. Wreszcie mamy ciepło. Rodzice moi zamieszkali z nami.

Mąż poszedł do pracy w lesie. Pracował przy ścinaniu drzew. Otrzymywał 60 dekagramów chleba dziennie. Ja i rodzice niepracujący otrzymywaliśmy po 40 dekagramów chleba.

Dla dziecka dostawałam 30 dekagramów cukru i 30 dekagramów kaszy na trzy miesiące. Tak było przez pierwszy rok. Za kaszę i cukier trzeba było płacić. Odliczali to mężowi z zarobków.

Ubrania, bieliznę zabraną z domu zamieniałam na żywność, w ten sposób utrzymywaliśmy się przy życiu. Głodni byliśmy stale.

W 1941r była epidemia tyfusu. Bardzo dużo ludzi w tym czasie zmarło. Moi rodzice też zachorowali na tyfus i zmarli. Pochowani zostali w lesie pod sosną.

Ja w tym czasie byłam w szpitalu w Kazaczyńsku przez pięć dni. Pracowałam tam jako lekarka p. Wróblewska, mówiła po polsku. Dostałam lekarstwo w tabletkach, /nie wiem nazwy/ wróciłam do baraku, ale chorowałam nadal /od stycznia do maja/.

Gdy teraz wracam myślami do chwil na zesłaniu, to rok 1941 dla nas Polaków, był najokrutniejszy.

Głód i tyfus rozszerzył się tak, że nie liczyliśmy na uratowanie się.

Naczelnik w czerwcu 1941r przeniósł nas do Piskonówki. Mieliśmy jedną izbę z oknem i piecem glinianym.

Mąż murował piec do pieczenia chleba w Kazaczyńsku, odległym o 40-ści kilometrów. Wracał co dwa, trzy tygodnie do nas do Piskonówki.

Zamieniałam resztki ubrań na żywność. Za "barankową" chustkę dobrze zapłacili, dawali nawet mleko. Weźniany płaszcz kupiła Rosjanka, dała mi razowej mąki. Sama oceniła, zapłaciła mi dobrze.

Pan Wróblewski /przed zesłaniem mieszkał w okolicy Przemysła/. W Piskonówce zorganizował dla polskich dzieci szkołę. Pracowałam tam, zabierałam ze sobą synka.

Dzieci w szkole było 25 w różnym wieku. Uczyłam ich polskich piosenek, wierszy.

Pan Wróblewski przywoził co pewien czas dary żywnościowe /amerykańskie/ z Urzędu Patriotów Polskich z Krasnojarska. Z owych darów raz dziennie organizowałam posiłek w szkole.

W naszej izbie szkolnej miałyśmy obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który zabrałam z domu w Bożykowie na zesłanie. Miałam ten obraz na ścianie w baraku, ale było to zabronione, więc zaniósłam do szkoły. W baraku miałam figurkę z Luwr. Na figurkę Matki Boskiej z Luwr nie zwracali uwagi.

Pewnego razu p. Wróblewski zawiadomił mnie, że przyjedzie do nas p. Józef Miskowski - delegat z Urzędu Patriotów Polskich z Krasnojarska.

Wyszliśmy po niego na przystań z polską flagą. Było nas 50-siąt osób. Przywitaliśmy go śpiewem.

Przyszliśmy razem do naszej szkółki. Dzieciom dał kilka tabliczek czekolady.

Dzieci zaśpiewały piosenkę, którą napisałam na okazję spotkania.

Smutna wierzba u jeziora  
kapie swój brunatny włos.  
My z Sybiru co wieczora  
ślemy Polsce z wiatrem głos...

Powiedz wietrze mej rodzinie  
jak nam smutno tutaj żyć.  
Jak nam smutno czas tu płynie...  
długo jeszcze mamy być?

Tam znam każdą rzeczkę - górę,  
każdy strumyk, każdy gaj.  
Tutaj jest nam wszystko obce,  
wszystko mówi: nie nasz kraj.

Boże, Ojczyźnie wszechmogący,  
siłę w Polskim Wojsku wzbudź!  
A nasz Boże do Ojczyzny -  
Wróć nas Boże, wróć ach wróć!...

Pan Józef Miszkowski pochwalił mnie za tę piosenkę. Jestem z tego do dziś dumna.

Józef Miszkowski wkrótce zginął. Został zastrzelony w Krasnojarsku.

Mąż, gdy wrócił z Kazaczyńska, opowiadał, że słyszał w radiu apel aby Polacy - mężczyźni zbierali się w duże grupy i szli w kierunku /nazwy miejscowości nie pamiętam/. Mieli zgłosić się do wojska Polskiego. Takie wiadomości przekazywali sobie mężczyźni.

Informacje te dotarły również do urzędnika NKWD. Zrobił zebranie. Poinformował nas, że jesteśmy zasądzeni na 20 lat pobytu na zesłaniu. Teraz jednak dadzą nam dokumenty, możemy zmieniać miejsce zamieszkania i pracy. Odradzał organizować się i wstępować do wojska. Nastraszyli część ludzi, w końcu wszyscy wrócili do pracy.

Od pewnego czasu dostajemy tylko mrożone ziemniaki, porcje wydzielone. Ziemniaki te najpierw moczyłam w wodzie, później tarłam i piekłam placki.

W dniu 10 VIII 1942r urodziłam w baraku w Piskonówce syna. Przy porodzie pomagała mi miejscowa kobieta - Rosjanka.

Synka ochrzcił Michał Mrózek wodą święconą zabraną z domu. Dał imię Kazimierz.

Synka karmiłam piersią przez cały rok. Pieluszki zrobiłam z resztek bielizny pościelowej. Żadnej pomocy dla dziecka nie otrzymałam.

Trociny drzewne po kornikach, zbierałam, przesiewałam przez szmatkę i to służyło za zasypkę dla dziecka.

W jesieni 1942r urzędnik NKWD zabrał nam dokumenty, powiedział, że jesteśmy ich obywatelami i będziemy należeć pod władzę radziecką.

W kwietniu 1943r powiadomiono nas, aby wszyscy Polacy poszli do Kazaczyńska /40 kilometrów/. Szliśmy piechotą. Spisali tam co pozostawiliśmy w naszych domach w Polsce.

Po miesiącu wezwano mężczyzn w wieku od 16-tu do 50-ciu lat na komisję wojskową w Kazaczyńsku.

Tam mężczyźni zbadali, dali im przydział chleba i następnego dnia mieli iść do wojska. Nasi mężowie nie dostali się na statek. Przez dni oczekiwania na odjazd do wojska, mąż przysposobił mi drzewo na opał. W kołchozie naprawiał garnki. Zarobił ziemniaków i maki.

Nasi mężowie odjechali do wojska w czerwcu 1943r. Odjechali do Krasnojarska.

Ukraińcy odmówili wstąpienia do wojska. Powiedzieli, że za "Polskich panów" nie będą się bić.

Zabrali tych Ukraińców do innej pracy i już nigdy ich nie widzieliśmy.

Zostałam sama z synkami Romkiem i Kazikiem. Miałam zapas drzewa, maki i ziemniaków. Koło domu miałam działkę, na której były posadzone ziemniaki. Dla dzieci w tym czasie otrzymywałam po pięć dekagramów chleba. Ja nic nie dostawałam.

Z miejscowej kancelarii dostałam 50 rubli, ■ jako wojskowa zapomoga. Sprzedałam męża walonki. Nic więcej nie miałam do sprzedania lub zamiany na żywność.

Nas kobiety, których mężowie poszli do wojska, było dużo. Jak skończyły się zapasy ziemniaków, miałyśmy trudny okres do przeżycia.

Z Kazią Szeligą popłynęliśmy statkiem Majakowski do Krasnojarska. Moimi dziećmi w tym czasie opiekowała się sąsiadka. Z miejscowej kancelarii wzięłam dokument, aby nas przyjęli na statek. Miałyśmy też listę mężów którzy są w wojsku.

W Krasnojarsku p. Kazia miała znajomą Rosjankę. U niej zatrzymałyśmy się.

W Związku Patriotów Polskich dostałyśmy koserwy mięsne, fasolę, mydło.

Znajoma Rosjanka dała nam wózek dwukółkę. Tym wózkiem woziliśmy do jej mieszkania otrzymane dary.

Aby dostać się na statek w drogę powrotną trzeba było mieć kartkę z łaźni miejskiej, że kąpałyśmy się. Taką kartkę otrzymałyśmy z łaźni więziennej. Za kartkę zapłaciłyśmy koserwą z darów.

Na statek /był przeładowany/ dostałyśmy się w ten sposób, że strażnikowi dałyśmy konserwę i fasoli, a on dał nam bilety na statek.

Teraz Kazia wędrowała z dwukółką do znajomej Rosjanki po przechowywane tam dary. Przywoziła na przystań, a ja je pilnowałam.

Wieczorem z darami szczęśliwie byliśmy na statku. Po trzech dniach podróży, kapitan statku dał nam dwie łódki, a jego pracownicy przewieźli nas z darami do brzegu w Piskonówce. Sami wrócili na statek.

Na nas przy brzegu czekali ludzie, pomogli przenieść dary do mojego baraku, gdzie rozdzieliłam je, wszystkim za pokwitowaniem.

W dniu 20 VIII 1943r wywożą nas /żonyz których mężowie poszli do wojska/ z Piskonówki. Dzieci siedziały na wozie, a my szłyśmy koło wozu. Konie, które ciągnęły wóz były bardzo chude i słabe. Później płynęliśmy łódką do rzeki Jenisej, a tam przesiadłyśmy się na statek. Do Krasnojarska płynęliśmy trzy dni. Przez ten czas nic nie dawali nam jeść. Dla dzieci miałam małe kawałeczki suszonego chleba. Dałam im wody, moczyły ten suszony chleb i jadły. To było raczej zajęcie

ich, bo najeść się nie było czym.

Gdy wysiedliśmy ze statku w Krasnojarsku, ulokowano nas w barakach więziennych. Widziałam jak wyprowadzali więźniów z więzienia - ludzie umierali po drodze.

W Krasnojarsku dostaliśmy po jednym bochenku chleba. Z Krasnojarska pociągiem zawieźli nas do stacji Kantymirowa, gdzie w wagonie byliśmy do rana. Dyżurny ruchu wyrzucił nas do świetlicy w pobliżu dworca. Zamieszkaliśmy w pustym budynku, bez ogrzewania /20 XI 1945r/ bez mebli, bez wyżywienia przez siedem dni. Wreszcie przyjechały samochody z przyczepami i zawieźli nas do sowchozu Ajdar. Tam dostaliśmy po dwa bochenki chleba na osobę. Zamieszkałam u Rosjanki w kuchni. Chciałam zjeść chleba. Mimo, że byłam głodna nie mogłam połknąć kęsa. Rosjanka dała mi zupy. Zjadłam kilka łyżek, dopiero trudności z połykaniem ustąpiły. Rodzina ta była dobra dla nas, mieszkałam u nich do końca pobytu na zesłaniu.

Chodziłam do pracy w sowchozie. Kopałam ziemniaki, marchew. Dzieci przez krótki czas chodziły do przedszkola. Rozchorowały się na szkarlatynę. W ośrodku zdrowia leczyła ich lekarka. Dzieci miały też owsiki, były leczone, ale niewiele to jednak pomogło. Nie było warunków do przestrzegania higieny osobistej.

Któregoś dnia na zebraniu w sowchozie poinformowali nas, że sończyła się wojna. Kierownik sowchozu powiedział, że w Polsce są bandy, więc na razie nie możemy wracać.

W kilka dni później szczepili nas, ale nie wiem, jakie to było szczepienie.

W lutym 1946r dostałam list od męża. Nas już przygotowywali na wyjazd do Polski.

Na drogę dali nam chleb, cukier, mięso suszone. Zawieźli nas do Woroszyłowgradu. Na stacji było 70 wagonów z Polakami. Przed naszym pociągiem odszedł pociąg z Żydami polskimi.

Pociąg nasz był pod opieką wojska polskiego. Na podróż dostaliśmy jeszcze mleko w puszkach i konserwy amerykańskie.

Na granicy nie mieliśmy trudności. Przyszła komisja lekarska, pytali czy ktoś jest chory. Na większych stacjach przynosili nam żywność.

Było to chyba w Lublinie, siostry zakonne przyniosły kanapki w dużym wiklinowym koszu. Mój syn Roman chwycił kanapkę, wyrzucił z niej kiełbasę, a bułkę zaczął łapczywie jeść.

Siostra zakonna była zdziwiona, pytała dlaczego on tak zrobił. Ona nie wiedziała, że syn nie wie co to jest kiełbasa.

W Sandomierzu dali nam jeden bochenek chleba na jeden wagon.

Tylko w Poznaniu przyjęli nas serdecznie. Przynieśli zupę pomidorową, ogórkową, chleb, a dla dzieci cukierki. Przynieśli ubrania. Wracaliśmy przecież w łachmanach.

W Starogardzie lekarze badali nas. Stwierdzili, że syn Roman ma gruźlicę.

Następnego dnia komisja lekarska zbadała syna ponownie, okazało się, że jest tylko bardzo przeziębiony. Sama zajęłam się jego leczeniem.

Z Polskiego Urzędu Repatriacyjnego dostałam zapomogę 400zł. Zdecydowałam się pojechać do rodziny męża do Muszyny.

Podróż w Polsce dla nas "Sybiraków" była również przykra. Postoje na stacjach wydłużały się. Jechaliśmy też w wagonach towarowych, bez dziury w podłodze. Dobrze, że dla dzieci miałam "korupkę" /nocnik z kory brzoźowej/, którą zabrałam z zesłania.

Rodzina męża przyjęła nas serdecznie. Zrobili przyjęcie. Usiedliśmy do stołu. A moi synowie jedli tylko ziemniaki. Dla nich była to okazja podczas której mogli najeść się ziemniaków do syta.

Mąż mój w tym czasie mieszkał już w Jugowej. W dniu 19 III 1946 byliśmy razem.

Za zgodność - *Bierowiec Józefa*

Józefa Bierowiec  
58-376 Jugowa 21

*Czesława Tarnawska*  
Wspomnienia spisała  
Czesława Tarnawska

Jugowa 23 X 1990r